Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 47.** **Leszno, dnia 26. Maja 1838.**



Parchatka.

Parchatka.

(Ułamek z ogrodnictwa polskiego.)

Parchatka, jestto wioska w województwie lubelskiém, pod Kazimierzem, nad Wisłą leżąca. Nazwana od kilku par chatek, z których się składa, tuli się do góry zarosłéj lasem, a która cały stanowi ogród. Wchód do niego jest z strony wioski, pomiędzy szerokiemi parowami, tak zręcznie mchem wyłożonemi, że nikt się dzieła ręki ludzkiéj nie dorozumie. Uszedłszy dwieście może kroków w górę, przybywa się do kształtnego i ogajonego domku, gdzie wszystko się mieściło, co tylko do przyjęcia gości potrzebnem być może. Znajdowała się tam i oddzielna biblioteka Parchatki, z wyborowych dzieł pięknéj literatury złożona. Z szerokiéj wystawy domku nad zarosłą przepaścią wzniesionéj, okazują się Puławy, Wisła, rozległe łąki, gaje i wioski. Wygląda z dala z poza brzegu góry wysuwające się miasto Kazimierz, z za wierzchu zaś téjże wyziera większą połową okrągła i olbrzymia wieża, do szczątku ruin zamku Kazimierza Wielkiego należąca. Nasyciwszy się tym widokiem podróżny, udaje się daléj ścieżkami mocno zaciemnionemi i wijącemi się brzegiem wspomnionéj przepaści. Nic urroczniejszego być nie może nad tę przechadzkę. Gęstwina, zaledwie nieco dnia przepuszczająca, cała drżąca śpiewem słowika, zalana deszczem harmonij, za każdym przelotem ptaszyny spadające śniegi z majowego kwiatu, Daleka piosnka oracza, dzwony kazimierskie, wszystko to tem milsze, że tak czarownéj dosięga zaciszy. Jakże wdzięcznie dróżki te zaokrąglone, jak budzą ciekawość, jak błędnym podobne dumaniom. Cała dusza w téj rozkwitnionéj rozwija się naturze, całe powietrze zdaje się być jednym oddechem roskoszy. Nieznacznie, lecz coraz wyżéj dążąc w górę, podróżny nadchodzi do ogromnego jaru, przez który długi most rzucony, w najromantyczniéjszy urok miejsce to przestraja. Z boku mostu, w głębi jam, przegląda w zarośli biała grota, uwieczniająca wspomnienia, z któremi się kryć musiano. Z mostu, ten sam prawie, co i z domku, odkrywa się widok; lecz chociaż widziane już powtarza piękności, przecież zdaje się nowym, w inném je bowiem świetle wystawia, w szerszym obrazie, więcéj już nawet w obraz ten zbiera przedmiotów. Z miejsca tego idzie się wciąż w górę, ale już coraz przykrzéj, drzewa karleją, zieloność płowieje. Natura, już nieco obumierająca, zdaje się zasmucać podróżnego, kiedy nagle wdartemu na górę w całéj swéj piękności, i że tak rzekę, w godowéj okazuje się szacie. Cały prawie rozwija się Kazimierz z wyższą już wieżą i murami zburzonego gmachu, dołączają się ruiny Bochotnicy, Janowiec z rozległym i starożytnym zamkiem. Wisła, na całą milę widzialna, wijąc się po niezmiernym błoniu jakby ogromny boa, z jednéj strony pomiędzy zielonemi massami kępy puławskiéj, z drugiéj pomiędzy górami dwoma zwieńczonemi miasty, ukrywa się i ginie. Nie wystarczyłby tam człowiek, ani okiem tylu widokom, ani duszą tylu uczuciom zachwycenia, gdyby zatonionego w pięknościach natury nie zwróciły nagle do smutnych dumań trzy krzyże, na samym szczycie góry wzniesione. Wystawiono je tam na pamiątkę Zofii z Matuszewiczów Kickiéj, która w wiośnie życia, całym uroku piękności, całéj swobodzie najczystszego szczęścia, z całém swojém potomstwem w kilka miesięcy zgasła. Krótkim jest opis Parchatki, gdyż i jéj ogród zaledwie kilkanaście tamecznych morgów obejmuje; tak on przecież jest uroczy, tak zastósowany do miejscowości, tak natura w swych pomysłach podchwytywana, taka różnorodność scen i uczuć, przez które się przechodzi, a przytém taka prostota, jedność charakteru, harmonia w całości, iż śmiele możnaby Parchatce nadać imie małego poematu, pomyślonego szczęśliwie, wykonanego dokładnie. Niema tam klombów kwiatowych, niema drzew exotycznych, ani żadnych ozdób zwyczajnych ogrodu, jako niezgodnych z dzikszém nieco położeniem. Dzikość ta przecie daleka jest od zaniedbania, które wielu jeszcze nieszczęściem za jedno bierze, aby niechlujstwo swoje usprawiedliwić. O tyle ona jest okrzesana, aby przyjemniejszą stała się oku i piękniéjszych nie słoniła widoków, nic jednak z pierwotnego nie utraca charakteru. Chcąc Parchatkę w całym jéj uroku wystawić czytelnikowi, powinienbym mu jeszcze krajobraz ją otaczający zaludnić przejeżdżającemi u stóp góry, mnóstwem żagli wiślanych, rozsypać trzody po błoniach hasające, a nadewszystko zejść do saméj wioski, któréj lepianki aczkolwiek strzechą pokryte, tak są chędogie, zamożne, tak pięknemi okolone sady, a te sady tak przedziwnym obciążone owocem, w tyle nakoniec obfitujące pasiek, winogradów, iż wioska ta jako obraz swobody, za najdokładniéjszy wzór sielskiéj siedziby służyćby powinna. Najsilniéjszym dowodem zachwycającéj piękności miejsca są wyczerpane tam natchnienia przez wieszczów naszych, Niemcewicza i Morawskiego. Mówiłem o Parchatce, jaką jeszcze była w 1829 roku.

O niebieskich migdałach.

(Fantazya przez Józefa Kraszewskiego. *)

Cóż warte to życie nasze, utkane z próżnych nadziei, szczęścia widzianego zawsze w przyszłości, z utrapień, łez i roskosznych chwil odurzenia, milion razy krótszych od cierpień? Rozwa-

*) Józef Kraszewski, Litwin; dzieła tegoż z druku wyszłe następujące:

I. Rok ostatni panowania Zygmunta III. T. 2.
II. St. Michalski kościół, w Wilnie. T. 2.
III. Pan Karól, romans T. 2.
IV. Cztery wesela. T. 2.
V. Wielki świat małego miasteczka.
VI. Pan Walery.

żywszy życie, chętnie się zgodzim, że można być szczęśliwym w każdéj prawie doli i położeniu. Roskosz i cierpienia zależą po części od tego, jak je sobie wyobrażamy, a tak dusza sama tylko i myśl, szczęścia prawdziwego jest zasadą. Niech ludzie co chcą gadają, jam jest szczęśliwy, bo umiem marzyć o niebieskich migdałach; a to marzenie stanowi główną tkankę mojego szczęścia, do któréj przyczepiają się na cieniuchnych niteczkach rzeczywiste życia wypadki, i w przeszłości tak się plotą z sobą, że nie raz pewnym być nie mogę, czy to a to było zemną w istocie, czym tylko sobie wyobrażał, marząc o niebieskich migdałach. Bodaj to marzyć życie całe! bodaj to przespać je, że tak powiem, i prześnić od młodości do śmierci. W marzeniu znika człowiek, czas, miejsce, przeszłość i przyszłość mieszają się, rzeczywistość i urojenie zlewają się jak jednorodne pierwiastki. Cały świat, wszystkie roskosze są na moje rozkazy, gdy marzę o niebieskich migdałach. Niema szczęścia w niebieskich migdałach!.. urojenia tak są roskoszne, tak rozmaite, tyle blasku użyczają rzeczywistemu życiu naszemu. Dowodem tego ja sam jestem, byłem, jak mi się zachciało, dzieckiem, starcem, kobietą, stawiłem się w najrozmaitszych położeniach, aby doświadczyć i zbadać je w samym sobie. Któż się nie kochał? i ja się kochałem: wówczas to trzeba było objąć myślą te miliony szczęść, któremi każde moje zbliżenie się do niéj, każde jéj słowo i ruszenie obradzałem. I byłem też tak szczęśliwy, jak być można, kochając kobietę; byłem szczęśliwy, póty, póki każdego urojenia szczęście nie urzeczywiściłem. Wyczerpawszy się, że to samo, co jest roskosném w marzeniu, na jawie słabém jest tylko odbiciem snu wyobraźni, powróciłem do prozy; obejrzawszy wprzódy od stóp do głowy siebie i kochankę, czy nie można jeszcze wymyślić czego i spróbować. W tych niebieskich migdałach, nowość najwięcéj uszczęśliwia, trudno powtórzyć jedno dwa razy z równym skutkiem, z równym zapałem, druga próba jest zimniejsza, trzecia usta do ziewania otwiera, o czwartéj ani myśleć.

Jest jednak w tych snach jedna rzecz nie smaczna — przebudzenie: kiedy ci pogrążonemu w dumaniu, spadnie co z rzeczywistego świata na nos; lub kiedy marzącemu, żeś panną, przyjdzie brodę golić cyrulik, albo też zawieszonego na planetach i oddychającego sfer harmonią, swąd z pieca obudzi.

Gdzież więcéj, jak w małżeńskim stanie potrzebne są niebieskie migdały? Jak tylko przelecą nieodwołane pierwszych roskoszy miesiące, na desser téj uczcie, sobie i żonie musisz stawić niebieskie migdały. Bo cóż za rzeczywistość? Spojrz w przyszłość, ona przed tobą wyciąga się długa, nudna, jednostajna, w oddaleniu spostrzegasz bóstwo twoje zwiędniałe, kilkoro dzieci wrzaskliwych i każdego roku, ten sam dom, te same osoby, to samo życie, pokrajane na drobne jednostajne kwiateczki. Tu ani wyżyć bez niebieskich migdałów: nie nakarmią cię pieszczoty, które ciągle jedna ręka, jedne usta, udzielać będą. Za każdym razem spadnie z nich po odrobinie szczęścia, w końcu staną się tylko formą roskoszy, a nie roskoszą. Napróżno będziesz się starał powrócić im wdzięk nowości i świeżość dawniéjszą; będziecie ziewać całując się, będziecie się nudzić kochając; ty będziesz musiał szukać szczęścia dorywczego za kulissami domowego życia, ona w książce lub w spiżarni. Tak się to kończy zawsze błyszczący dzień życia małżonków, któremu przy poranku przyświeca słońce tak świetne! I miłość, ta miłość zmieni się w zimny nałóg i nudę. Kto się urodził z duszą gorącą, z wyobraźnią działającą, będącą jak młyn wietrzny w ciągłym ruchu, potrzebującą coraz nowych materyałów na mlewo, kto przy tém wszystkiém jak koń zmuszony do obiegania ciągle jednego kołka, temu niebieskie migdały są koniecznie potrzebne. Bez nich, własne siły go spalą, lub zasną, nie mając roboty; i tego pięknego, ognistego człowieka, zamienią w kawał ruchawego głazu. Siedząc zakopany na wsi z ludźmi, w których głowach stoją browary i szynki, z jakąż roskoszą wystawisz sobie stolice świetne Europy, wyższych ludzi, światło i samą naturę tak czarującą, tak rozmaitą, tak odmienną od twego lasku za stodołą, lub sadzawki pod folwarkiem.

Cóżbym ja poradził z sobą, gdybym nie miał na ratunek niebieskich migdałów? gdybym musiał ciągle żyć tylko z tymi, których mi los za towarzyszów nudnych, nudnego życia narzucił? gdybym na rozkazy nie miał tłumu osób różnéj płci i wieku, charakterów i skłonności, gdyby ta zgraja nie uwijała się ciągle koło mnie?

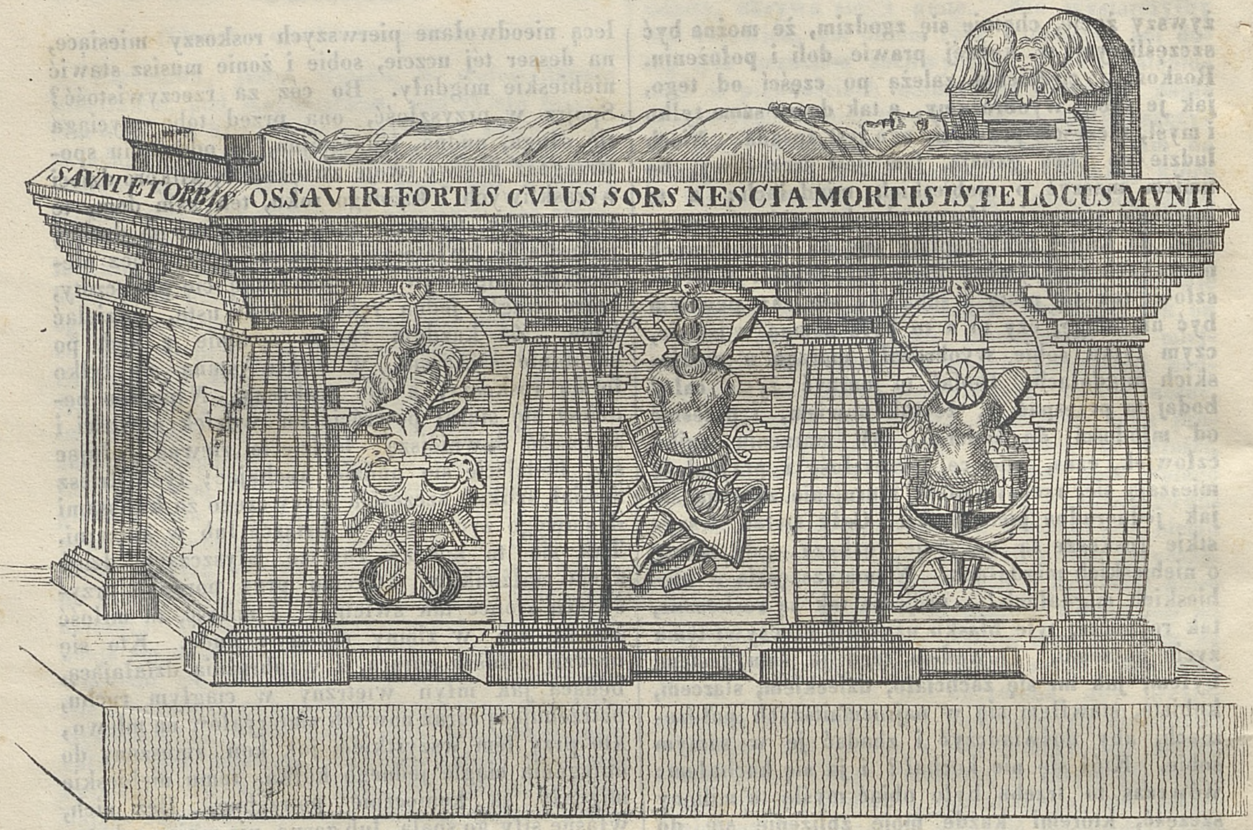
A i tą znudzony, nie mogąc do czego innego, uciekam się kiedy niekiedy nawet i do trupiéj główki. Ta główka była nie raz tematem moich marzeń o niebieskich migdałach; ileż to ja stworzyłem baśni, patrząc na ten czerep bez duszy, świadek tylu wypadków, który mi o sobie nic więcéj powiedzieć nie umiał, tylko, że w szczękach były zęby, w dziurach oczy.

W tych to marzeniach doszedłem, przekonałem się, uroiłem sobie, że ta głowa jest głową kobiety: byłbym dał miliony, gdybym je miał, żebym mógł wiedzieć, choć jednę myśl, która przeleciała przez ten czerep, w który ja teraz puszczam dym z fajki i patrzę, jak się przez oczy i gębę wije kłębami. Czasem też gorzko zasmucam sam siebie, myśląc, że to głowa jakiéj

---

VII. Majster Bartłomiéj.
VIII. Dwa a dwa — cztery.
IX. Improwizacya dla moich przyjaciół, z którego dziełka ten wyjątek o migdałach.

Oprócz tych dzieł, w przeciągu 4ch lat wydanych w Wilnie, tegoroczne pisma czasowe i noworoczniki mieszczą w sobie tegoż autora drobniéjszéj objętości powieści i opisy, niemniéj rozbiory dzieł historycznych, z bardzo trafném zdaniem.



Pomnik Wittekinda, króla Saxonów, w Miśnii. *)

pięknéj pani, która za życia tak była pusta, jak teraz; lubię jednak marzyć sobie, że w tych dziurach siedziały śliczne oczy niebieskie, na téj kości wyklejone były różane usteczka; lubię unosić się nad szczęściem, którego doznawał kochanek; jakżeby teraz odskoczył, gdybym mu dał głowę jego kochanki, zimną, zapaloną, jak pustą klatkę, po zdechłym ptaszku! Dziś w tym szkielecie myśli, bujają pająki: w oczach, z których płomienie latały; dziś często w braku lichtarza, stawiam świecę, w usta zatykam pióra. Otóż, co mogą marzenia o niebieskich migdałach. One czerep bezduszny ubarwiają i przemieniają w piękną głowę szesnasto-letniéj dziewczyny, zapalają dwoje oczów, rumienią lice, tworzą z kawałka kości cały poemat, tchnący życiem, roskoszą i świeżością.

Karól Wielki i Wittekind.

Wiara i miłość potężniejsze są od oręża. Nie pamiętał o tém Karól W. chcąc waleczny naród saski ujarzmić i do wiary chrześciańskiéj przymusić; odniósł wprawdzie nie jedno krwawe zwycięstwo, skruszył ich bożka, który niegdyś stał nie daleko Padeborn, gdzie się lud zwykł był zgromadzać, czczonego pod postacią rycerza, z orężem w jednéj, a dzidą w drugiéj ręce; za-

*) Ryciny wyjęte z rzadkiego u nas dzieła, które mam z tutejszego archiwum miejskiego: »Monumenta Landgraforum Thuringiae et Marchionum Mysniae a Samuele Reyhero, Gothae 1692,« to dzieło taką o Wittekindzie w krótkości w łać jęz. podaje wiadomość: »Wittekind wielki, król Saxonów, xiążę Rugii, z Karólem Wielkim przez 29 lat mężnie walczył, nakoniec nie tak mocą oręża, jako raczéj łagodnością króla do przyjęcia religii chrześciańskiéj nakłoniony r. 785, a potém w przezroczystém źródle westfalskiéj ziemi, przez Hildegrina, biskupa halberstadskiego, ochrzcony, w miejscu, gdzie potém kaplicę Betleem wybudował, od któréj dotychczas jeszcze wieś półmili od Osnabrück odległa, Belem się nazywa. Karól do chrztu go trzymał: poczém potwierdził na xięstwo, i zamiast czarnego rumaka, białego na czerwoném polu w herbie używać pozwolił. Na pomniku jest z jednéj strony taki napis:

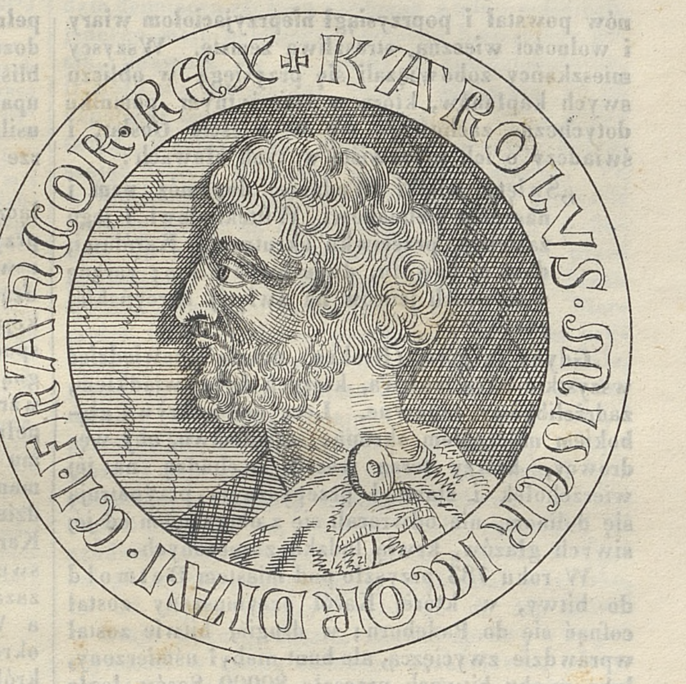
Ossa viri fortis
Cujus sors nescia mortis
Iste locus munit.
Euge bonns spiritus audit
Omnes mundatur
Hunc regem qui veneratur
Aegros hic moribus
Coeli rex sanat et orbis.

Na wierzchu

Monumentum Wittekindi Warnechini, filii Angrivariorum Regis XII. Saxoniae, procerum fortissimi.



Wittekind, z głazu wykuty, na pomniku spoczywa.



Karól Wielki. *)

brał najprzedniejszych mieszkańców w niewolą, zakładał twierdze w ich kraju, narzucał im swych namiestników i wodzów, i kazał ich tłumami do chrztu pędzić. A jednak ich przywiązania do dawnéj przodków wiary, jakkolwiek błędnéj, przełamać nie mógł, ich miłości nie pozyskał. Zaledwo pokój zawarty został, a król do Włoch pośpieszył, aby tam odniósł nowe zwycięstwa, Saxonowie, od swych kapłanów podburzeni, na nowo bunt podnieśli, zrzucili przykre jarzmo znienawidzonego dla tylu gwałtów chrześciaństwa, które z nazwiska tylko znali, pozabijali cudzoziemców, którzy im rozkazywali, pod dowództwem xiążęcia **Wittekinda**, a potém wpadli do kraju Franków, mieczem i ogniem wszystko pustosząc. Karól uwiadomiony o buncie Saxonów, poprzysiągł krwawą zemstę. Lotem błyskawicy przyleciał z Włoch, spadł jak piorun na swych nieprzyjaciół, pobił ich wojsko, i dla przykładu, 4500 jeńców na miejscu śmiercią ukarał, a później 10000 mieszkańców wypędziwszy z ich siedzib, gdzieindziéj osadził. Gdyby był sobie obrał drogę łagodności i dobroci, gdyby się był starał poznać ich obyczaje, wiarę i język, bez wylewu krwi byłby daleko prędzéj i pewniéj dopiął zamierzonego celu. Lecz Karól ufał swéj potędze, któréj dotąd nic oprzeć się nie zdołało, mniemając, że wszystko drżeć przed nim powinno. Tymczasem stało się inaczéj: cały naród Saxo-

*) Rycina przedstawia pieczątkę Karóla W., którą się dotychczas przechowuje w St. Denis, a podobna znajduje się w St. Germain, wyjęta z powyższego dzieła.

nów powstał i poprzysiągł nieprzyjaciołom wiary i wolności wieczną, straszliwą zemstę. Wszyscy mieszkańcy zobowiązali się przysięgą w obliczu swych kapłanów, która w starożytnym pomniku dotychczas zachowuje się w mieście Goslar, i świadczy o ich nienawiści w tych słowach:

„Święty wielki Wodanie, dopomóż nam i naszemu hetmanowi Wittekindowi i jego zastępcy, przeciwko okrutnemu Karólowi; dam ci bawołu, dwie owce i łup; zarznę wszystkich jeńców na świętéj hercyńskiéj górze.“

Gdyby ta góra, (Broken) mogła opowiedzieć wszystkie okrucieństwa, których była świadkiem, zadrżelibyśmy zapewne. Lecz ona pokrywa głębokiem milczeniem okropne świadectwo, aby wędrowcy, którzy teraz wesoło wchodzą na jéj wierzchołek i ztamtąd przepysznym przypatrują się dolinom, nie odwracali się z oburzeniem od jéj siwych głazów, krwią ludzką zbroczonych.

W roku 783 przyszło pod miastem **Detmold** do bitwy, w któréj Karól przymuszony został cofnąć się do Padeborn; w drugiéj bitwie został wprawdzie zwycięzcą, ale bunt niebył uśmierzony, lubo w obu bitwach przeszło 80000 Sasów legło na placu.

Wtedy dopiero przekonał się Karól, że musi innéj użyć broni; zaprosił więc dwóch najstraszniejszych dowodzców, **Wittekinda** i **Alboina**, do siebie, chcąc się obejść z nimi po przyjacielsku. Gdyby to był dawniéj uczynił, byliby przyszli; ale tak brzydzili się i gardzili burzycielem ich spokojności, iż obaj dumną tylko odesłali odpowiedź.

Nakoniec niezłomne serce Wittekinda uczuło boleśnie nędzę i udręczenie ludu, nad którym panował, i zaczął wątpić o potędze bogów, którzy im nie mogli, czy nie chcieli, dać zwycięztwa, lubo ich ołtarze krwią ludzką codzień były zbroczone. Jakaś nieznajoma siła ciągnęła go, aby poznać Karóla z bliska, i lubo publicznie odrzucił jego zaproszenie; postanowił jednak wraz z przyjacielem swoim, Alboinem, przebrawszy się za żebraków, zbliżyć się do niego. Opuścili potajemnie wojsko Saxonów, udali się w podróż i przybyli właśnie w dzień uroczysty do miasta. Gmach wielki i wspaniały, który oni wzięli za mieszkanie króla Franków, zwrócił ich uwagę, a ponieważ drzwi były otwarte, i lud cisnący się tamże widzieli, poszli z drugimi. Nie do mieszkania króla Franków, lecz do kościoła weszli, i ujrzeli tutaj Karóla, którego tylko w krwawych bitwach z błyszczącym w ręku mieczem, oglądać byli zwykli, zatopionego w głębokiém nabożeństwie i w skromnym ubiorze, otoczonego szlachtą frankońską, klęczącego przed ołtarzem i przyjmującego właśnie świętą kommunią. Domyślili się zaraz gdzie byli: lecz tutaj nie było krwawego ołtarza, nie słychać jęków przeznaczonych na śmierć ofiar, ani przerażającego krzyku zabobonnych kapłanów; tu wszystkie namiętności ucichły; święty pokój panował wszędzie i napełniał wszystkich. Wittekind i Alboin głębokiego doznali wzruszenia, mocno bijące serca uczuły bliskość Boga Chrześcian, a gdy pobożny tłum upadł na kolana, i oni oprzeć się nie zdołali usilnemu uczuciu i pierwszy raz oddali w pokorze hołd prawdziwemu Bogu.

Po nabożeństwie wyszli z kościoła i przyłączyli się do żebraków, oczekujących u drzwi przybycia króla. Wittekind siedział na stopniach i wlepił wzrok swój bystry w Karóla, wychodzącego z kościoła, na którego pięknych i spokojnych rysach, jeszcze nabożeństwo i natchnienie spoczywało, a chcąc być niepoznanym, wyciągnął także rękę po jałmużnę. Lecz przenikliwy wzrok Karóla, odkrył natychmiast w silnych i pełnych wyrazu rysach twarzy, bohatera, który mu w bitwach stał się tak strasznym: nie mam tutaj jałmużny dla ciebie, ale jeżeli pójdziesz zemną, lepsza cię czeka nagroda, rzekł Karól, i podawszy mu rękę, zaprowadził go do swego mieszkania. Po długiéj i żywéj rozmowie zazarci nieprzyjaciele wiary, uściskali się czule, a Wittekind, nie chcący nigdy ustąpić placu okrutnemu Franków monarsze, zgiął kolano przed królem chrześciańskim.

Wittekind i Alboin wkrótce potém przyjęli publicznie wiarę chrześciańską, i w przytomności Karóla uroczyście w obliczu całego ludu chrzest odebrali. Za przykładem xiążąt poszedł chętnie cały lud Saxonów; a czego przez 32 lat oręż dokazać nie zdołał, w krótkim czasie sprawiła wiara i miłość. Sasi, zostawszy Chrześcianinami, do tego czasu nie zapomnieli o téj prawdzie; i dlatego do dzisiejszego dnia król i lud kochają Boga i siebie nawzajem.

O wystawie poznańskiéj.

(*Dokończenie.*)

Czémżeby był obraz bez okrętu? czémżeby był ocean bez człowieka? Niechaj burza miota wichry i bałwany, niech ryje powierzchnie wód niezmiernych, wyrzuca w powietrze spienione wały, niechaj grzmotem przygrywa, błyskawicą przyświeca zapalczywéj walce żywiołów: czémże będzie to najpyszniéjsze zjawisko natury bez człowieka, przytomnego jego dziwom, czémże będzie innem, jak czczém igrzyskiem wody i powietrza? Lecz puść jednę tylko łódkę na ten ocean rozhukany, a igraszka ta przemieni się w cudowny obraz wszechmocności boskiéj: człowiek Twórcę światów zrozumie i gorące śląc do niego modły w opatrzności zaufa, śmiałą ręką zwinie żagle i wśród skał zastéruje do portu. Takto cała myśl, cała treść przyrodzenia, w ludzkiéj dopiero rozjaśni się duszy: zewnętrzne zjawisko stanie się poetycznym obrazem, wypadek czynem, a losy świata historyą. O! zrozumiéjmyż tę wysoką godność człowieka, wskazanego do pojęcia wielkich dzieł boskich i godność mężów, powołanych do tłumaczenia ich piękności w natchnionym rymie, na barwistém tle obrazów, w nieprzerwaném następstwie tonów, w poważnym rozkładzie marmurowéj świątyni. Człowiek tylko ludzkie i boskie arcydzieła zrozumie, a mistrz je wytłumaczy. Twórcy codziennie cześć składać należy, że nas powołał na ten świat tak piękny; kapłanom, mędrcom i poetom winniśmy wdzięcz-

ność, że nam śród niego wszystkie cnoty, wszystkie prawdy i najrozmaitsze wdzięki wskazują, że przez nich więcéj ród ludzki i ziemską siedzibę zamiłujem, a roskosz życia i świetlejsze jego cele odgadniem. Niezbędne i odwieczne prawdy objawiła nam Opatrzność, innych atoli ciężką ludzką pracą dokupić się kazała: pracą nauk i umiejętności, pracą sztuki. Ten tylko powątpi o mękach geniuszu, kto nigdy niebacznego nie zwrócił oka na blade lica przyjaciela, co myśl wielką miłując, bezsenne nad nią trawi nocy i czy to w mozolnym i uciążliwym namyśle ściga wątek uczonych spostrzeżeń, czyli téż rozpłomienia swego ducha do poetycznego natchnienia. Ileż to przedwczesną znękanych pracą zwiędnie za młodu, i albo z życiem, albo z szlachetną wewnętrzną walką rozbrata się na zawsze z wytrwalszych grona, — jakże to mało wybranych! Tak nie jeden może poeta szukał w truciznie z opium silniejszego natchnienia: lecz sam tylko Dante w sztucznem swém uśpieniu towarzyszył boskiéj Beatryce, i w niém zajrzał w głąb czarnych piekieł: nie jeden śród boju i niebezpiecznéj wyprawy, ubiegał się za myślą wieszczą, a któż zrównał sławie Kamönsa żołnierza, głośniejszéj nad wszystkich wodzów i bohaterów jego ojczyzny. Bo nie czas, nie miejsce, nie okoliczności dogodne sprawują poetę, lecz jedynie moc jego ducha: wieszcza Eddów nie ziębiły islandskie lody; arabski poeta umiał pokochać piaskową, skąpą zieleń, pustynię, dusza poety jest na kształt owego Greka od bogów zaklętego, który cokolwiek dotknął, w bogaty kruszec przemienia.

Elekcya królów polskich.

(Ciąg dalszy.)

W dniu otwarcia sejmu elekcyjnego zebrane stany, po uroczystém nabożeństwie w kościele ś. Jana odprawioném, albo przez nuncyusza papiezkiego, albo przez prymasa, udawały się najprzód do wdowy królewskiéj, (jeżeli została) z kondolencyą; w imieniu senatu przemawiał do niéj prymas w imieniu stanu rycerskiego, marszałek ostatniego sejmu (przyzywnego). Po téj ceremonii, wychodzili wszyscy na pole elekcyi: senatorowie do szopy, a posłowie ziemscy do koła, aby pod laską marszałka ostatniego sejmu wybrać marszałka sejmu obecnego. Dopóki marszałek niebył wybranym, posłowie radzić niemogli. *)

Na elekcyi Augusta II. bez względu na dawny zwyczaj, przypuszczano do obioru marszałka, wszystkę szlachtę i obiór marszałka, który prawami z roku 1678 i 1680 w pierwszym zaraz dniu ukończonym być powinien, do czternastu dni przewleczono. Prawa późniejsze z roku 1699 i 1736 nie zapobiegały temu złemu. Na elekcyi Zygmunta III. dwóch było marszałków razem, Kasper Dembiński, z strony Zborowskich, a Paweł Orzechowski, z strony Zamojskiego; na elekcyi Augusta III. dwóch następnie, to jest: Antoni Poniński, po Franciszku Radzewskim, gdy ten się partyi Leszczyńskiego chwycił.

Nowo obrany marszałek wykonywał przysięgę, iż wiernym wszystkim swym obowiązkom, tylko prawnie i za ogólną zgodą obranemu królowi wygotuje dyploma elekcyi. Po tym obrzędzie deputacya złożona z jednego wielko-polskiego, jednego mało-polskiego i jednego litewskiego posła, udawała się do szopy z zawiadomieniem, iż koło ma marszałka. Senat, dodawszy do téj deputacyi trzech z pośród siebie, tę nową deputacyą wysyłał do koła rycerskiego, zapraszając posłów do szopy na wspólne obrady. Po wysłuchaniu deputacyi senatu w kole, posłowie ziemscy mając na czele swego marszałka wchodzili do szopy, wprowadzani uroczyście przez marszałków w. w. lub nadwornych, a w braku tychże, przez któregokolwiek z ministrów. Marszałek izby poselskiéj powitawszy ukłonem prymasa, siadał na niższém od senatorskiego krześle, pomiędzy dwoma marszałkami, lub pomiędzy dwoma przytomnymi najpierwszymi ministrami, i przemawiał w imieniu koła do senatu, witając tenże i zapewniając o czystych chęciach i bezstronności w mającéj nastąpić elekcyi. Prymas odpowiadał na to, chwaląc koło rycerskie, iż zgodnie obrało marszałka, zalecał podobne w ciągu całego sejmu postępowanie, wykładał wszystko, co od sejmu przyzywnego, aż do téj chwili w kraju ważnego zaszło, zdawał sprawę z swych czynności w czasie obecnego bezkrólewia, odczytywał listy książąt zagranicznych, i przedstawiał izbom, co i jak na tym sejmie działać wypada.

Na następnych najbliższych sessyach stanów połączonych radzono naprzód: o sądzie zwanym kaptur generalny, którego powinnością było karać wszelkie przestępstwo, popełnione tak na polu elekcyi, jak i gdziekolwiek w czasie sejmu elekcyjnego. Nazywał się generalnym dla różnicy sądów kapturowych, ustanowionych po ogłoszeniu bezkrólewia po województwach. Wybrani sędziowie kapturowi wykonywali w połączonych stanach przysięgę. Powtóre stanowiły stany ustawy, potrzebne do zachowania porządku i bezpieczeństwa sejmu elekcyjnego, daléj potwierdzały postanowienia deputacyi wyznaczonéj do sprostowania exorbitancyi. **) Na kilku sejmach elekcyjnych układały stany warunki ugody pomiędzy obrać się mającym królem a narodem (pacta conventa); lecz gdy późniéj uznano za rzecz polity-

*) Zebrany sejm przed obiorem marszałka, że nic prawnie stanowić niemógł, nazywał się w stanie inactivitatis (bezczynnym,) po obiorze marszałka (activitatis) czynny.

**) Wszystko to, co się bezprawnie z uszczerbkiem praw, lub wolności w kraju stało, to jest nie podług kolei praw, nazywano exorbitancyami (extra orbitam legum). Do exorbitancyi liczono nietylko nadużycia urzędników, w ich urzędowaniu popełnione, lecz nawet wszystko, przez króla i inne stany przeciw prawu przedsięwzięte. W bezkrólewiu 1669 pomiędzy exorbitancye policzono wyrok Jana Kazimierza przeciw Lubomirskiemu, abdykacyą tegoż króla i wszystko, do czego król przysięgą zobowiązał się, a nie wykonał. W czasie każdego bezkrólewia wybrana kommissya z członków obódwóch izb, wszystkie exorbitancye do iéj wiadomości doszłe znosiła. Uchwały téj kommissyi musiały być potwierdzone przez stany sejmujące i to w pierwszych trzech tygodniach sejmu elekcyjnego. Sessye swe odbywała rzeczona kommissya w zamku warszawskim tylko przed południem, po południu bowiem członkowie téj kommissyi musieli być obecnymi na obradach sejmu w polu elekcyjném.

czną inne pacta dla króla ziomka, inne dla cudzoziemca stanowić, zaczęto dopiero po obiorze radzić.

Wyjątkowo na elekcyi króla Jana, dla uniknienia zaburzeń i niezgód, jakich pełne były obiory Zygmunta III. i króla Michała, zobowiązały się stany wzajemną przysięgą, złożoną prymasowi, iż zgodne, na dobro ogólne pamiętne, bez względu na intrygi i nie z uszczerbkiem wolności narodowéj obiorą króla, i że każdego, ktokolwiekby inaczéj działał, za zdrajcę kraju uznają.

Lubo już przed sejmem przyzywnym, wysłana do wojska deputacya, odebrała od tegoż przysięgę na wierność dla kraju; powtórnie jednak od hetmanów, zwykle na elekcyi przytomnych, odbierano przysięgę, iż winni swym obowiązkom i pilni tak w strzeżeniu granic, jak i dowództwie wojska, swéj powagi wojskowéj na szkodę kraju lub własną korzyść nie nadużyją, wojska na pole elekcyi nie sprowadzą i nad granicą kraju trzymać je będą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Powrót żołnierza.

Księżyc drzémie utrudzony,
Pod zachodnim gdzieś obłokiem,
A jutrzenka z wschodniéj strony,
Rubinowém mruga okiem.

Już doliny, łąki, knieje,
Ranek w tuman mgły obleka;
Z czasu na czas, kur zapieje,
Lub półsenny pies zaszczeka.

I znów mdleją echa tony,
Znowu cicho, głucho w koło....
Któż tam tęskny, zamyślony,
Pod uśpione zmierza sioło?

Twarz wąsata, ogorzała,
A na głowie włos siwawy;
A wyniosła postać ciała,
Którą odział płaszcz dziurawy.

Czasem stanie, jakby w mroku
Szukał marzeń zapomnianych;
Jakby witał w mdłym obłoku,
Pamięć latek młodocianych.

A gdy przyszedł, gdzie w drzew cieniu,
W kwiat ubrany, patron sioła;
Westchnął, usiadł na kamieniu,
I zaduma i zawoła:

»Jeszcze ranna śpi czeladka,
O! sen pracy słodki bywa;
Niech śpi dobra moja matka,
Stary ojciec niech spoczywa!

»Niech śpią błogo, jeszcze rano;
Ale wszyscyż ze snu łona,
Witać w domu gościa wstaną,
Ojciec, matka, brat i ... ona!

»Mija wiosna jedenasta,
Czas jak strumień szybko ciecze;
Jak nasz ojciec przyszedł z miasta,
I tak smutny do mnie rzecze:

„Rok dwudziesty kończysz Janie,
Czasby ci sił własnych użyć;
Brat twój w domu pozostanie,
Ty krajowi pójdziesz służyć.“

»O! pomnę, w jak smutnym stanie,
Pod tę samę szli kaplicę,
Na ostatnie pożegnanie,
Brat, kochanka i rodzice.

»Słyszę matki méj rozpacze
Przy ostatniem: bywaj zdrowa!
I kochanki ciche płacze,
I pamiętne ojca słowa:

„Ten, mój synu, chwałę zyska,
Bohatéra i żołnierza;
Kto łzy koi, nie wyciska;
Cios odpiera, nie wymierza.“

»Dzięki, ojcze, za przestrogi,
Mnie należy ta zapłata;
Jam wśród wojny i pożogi,
W nieszczęśliwym widział brata.

»Z długich, twardych lat przeprawy,
Na rodzinne niosę łono:
Krzyż, ran kilka, trochę sławy,
I tę odzież wysłużoną.

»Obym za me lata młode,
Gdy w ojczystym progu stanę,
Miłość, szczęście i swobodę
Zastał; lecz ach! czy zastanę?....

»Niech zastanę, o mój Boże!
Jeden uścisk, jednę chwilę;
A spokojnie głowę złożę,
W cichéj przodków mych mogile.«

Wtém rzewnemi łzy zalany,
Na kolana nagle pada;
Znów się śmieje na przemiany,
Jak człowiek, co zmysły strada.

Bo przez leksze mgły zawoje,
Spłynął światła strumień złoty;
I w czarowne odział stroje
Jego błogich snów przedmioty.

Ten sam staw, toż samo błonie,
Wieś w dolinie rozrzuconą;
W środku kościół, a na stronie
Chatkę laty nachyloną.

Już też słońcu i skowronek
Swą poranną pieśń zanucił;
I pogodny, letni dzionek,
Do prac zwykłych wieś ocucił.

Już się skrzętny lud gromadzi,
On wstał i szedł i uglądał;
Poszedł..... niech go Bóg prowadzi!
Oby znalazł, czego żądał.

J. N. J.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)